

Anna Dymna



A person in a wheelchair is shown from the side, wearing a dark jacket and patterned pants. They are on a film set, with various pieces of equipment like tripods and ladders visible in the background. The scene is lit with warm, golden light, suggesting an indoor or sheltered outdoor setting. The person's hand is resting on the wheelchair's handle.

... NIE JESTEM ZADNA SWIĘTA

Zdjęcia ROBERT WOLAŃSKI

Żyje tak, jakby każdy dzień miał być ostatnim. Żeby nie uronić z życia ani minuty. I mówi, że jest bardzo bogata, bo ma przy sobie brylanty – niepełnosprawnych przyjaciół. O uczuciach, których nie wolno zabijać, potrzebie zachwytu i o tym, że można odmieniać rzeczywistość, Anna Dymna w niezwyklej rozmowie z Elżbietą Pawełek.



„Odkąd weszłam w świat cierpienia, przestałam narzekać. Cieszę się, że mam ręce i nogi. Wcześniej nie wiedziałam, że to jest



Powiedziała Pani, że szczęście jest wtedy, kiedy człowiek się budzi i wie, że jest komuś potrzebny.

Nie wyobrażam sobie, że żyję sama dla siebie. Nawet gdy widzę coś wspaniałego i nie mogę się z nikim podzielić tym obrazem, to tak, jak bym widziała dużo mniej. Teraz czuję się bardzo szczęśliwa, bo mam mnóstwo „dzieci”. Niektóre co prawda są starsze ode mnie. Gdy przyjeżdżam do ośrodka w Radwanowicach, słyszę okrzyk: „Mamo, mamo!” wydobywający się z ust nawet 60-letnich facetów. To właśnie moje dzieci.

– Kiedy zakładała Pani Fundację „Mimo Wszystko”, nie wszystkim się to podobało. Niektórzy w Krakowie żartowali: „Święta Anna od Downa” i pukali się w głowę.

Niech się pukają, to też zdrowo. Staram się tak żyć, żeby to miało sens. W tym, co robię, nie ma żadnej świętości. Jak umiem, próbuję poprawić czyjś los. To zwykły odruch. I sprawia mi to przyjemność i już. Gdy słyszę: „Matka Teresa, anioł, święta”... myślę, że ktoś ze mnie kpi. Nie jestem żadną świętą. Dobrym człowiekiem może być każdy, bez względu na to, w co wierzy i w jakiej jest partii. Ktoś do mnie pisze: „Też pomagam, ale tak jak pani się nie chwale”. Nie rozumie, że jak prowadzę fundację, muszę informować, na co wydaję społeczne pieniądze. Niektórzy mówią: „Starzeje się, jest gruba i musi gdzieś zarabiać szmal”. Wiedzą już jednak, że pracuję w fundacji jako wolontariuszka i nie biorę za to ani grosza, więc podejrzewają, że coś się za tym musi kryć. ▶



powód do szczęścia. A jak ktoś wyśmiewa się z mojej pracy z niepełnosprawnymi intelektualnie, mówię, że robię to z egoizmu”.



– Dymna pałacyk sobie buduje?

Pałaców to ja mam tyle, że trudno zliczyć! A pod Krakowem to w każdej wiosce (śmiech). Niczego nie dementuję, bo to bez sensu. Do Internetu już nie zaglądam, bo cokolwiek by się zrobiło, znajdują się tacy, co oplują.

– Przyjaciele mówią o Pani „Anna o gołęmb sercu”. Ale Dymna się ze sobą nie pieści?

Muszę być twarda. Mam sturutowany wypadkami kręgosłup i czasem daje mi w kość. A mój zawód wymaga przecież sprawności fizycznej. Ale gdy na przykład po wielu godzinach nagrań programu „Spotkajmy się” w telewizji skrzywię się z bólu i mam ochotę pojęczeć i ponarzekać, robi mi się po prostu wstyd, bo naprzeciw mnie siedzi na wózku sparaliżowany człowiek, cierpiący na SLA czy dystrofię mięśniową, więc tylko śmiejemy się z tego razem. Czuję się po prostu śmieszna.

– Chyba nikomu nie jest tam do śmiechu, Pani rozmówcy to herosi w morzu nieszczęść.

Dziwne, ale często się szczerze śmiejemy... z choroby, kalectwa i śmierci też. Przed nagraniem poznaję moich rozmówców i ich losy. Zdobywam ich zaufanie. Wiele rzeczy, o których mówią, mnie przeraża. To chyba moja najtrudniejsza w życiu rola. Niby nic takiego trudnego. Po prostu rozmowa. Nic się nie dzieje, tylko kobieta rozmawia z chorymi ludźmi o śmierci, bólu, samotności, miłości. Niestety, to mało atrakcyjny program dla telewizji. Na szczęście wciąż pozwala mi go robić, już ponad 10 lat... choć coraz rzadziej.

– A ja słyszałam, że Pan Bóg dobrze wybrał, obsadzając Dymną w tej roli.

Może i dobrze obsadził. Jestem aktorką. Umiem słuchać▷

„Przebywam w świecie wysokiej sztuki, znam wybitne gwiazdy, filozofów i poetów, a jadę do moich podopiecznych po coś najważniejszego. By nie zapomnieć, że jestem zwykłym człowiekiem”.





„Czasem słyszę: »Musisz z czegoś zrezygnować«. Ale jak ma się 62 lata, jak ja, czas inaczej płynie. Teraz już nie ma »później«. Bywa, że mówię: »Panie Boże, jestem zmęczona«. Po czym idę do teatru i czuję, jakbym weszła do orzeźwiającej wody”.

i rozmawiać. Moi rozmówcy opowiadają o piekle cierpienia, o chwilach ostatecznej rozpacz, załamania i o cudach, jakie są ich udziałem. Znam ludzi sparaliżowanych, bez nóg, rąk, umierających, którzy są naprawdę szczęśliwi. Mają pasję, osiągają prawdziwe sukcesy, kochają i są kochani. Odbijają się od bólu, nieszczęścia, przetamują wszelkie bariery i wygrywają. Udowadniają, że dopóki się oddycha i ma się minutę życia, to jest się szczęściarzem. Niektórzy wiedzą, że za rok umrą. Pytam z rozpaczą: „To o czym będziemy rozmawiali?”. A oni: „Jak to o czym? O tym, że życie jest piękne”.

– Cierpienie uszlachetnia?

Uczy pokory. Odkąd weszłam w świat prawdziwego cierpienia, przestałam narzekać. Cieszę się z tego, że mam ręce i nogi. Wcześniej nie wiedziałam, że jest to

powód do szczęścia. Zostałam wyróżniona przez los wobec tylu pokrzywdzonych i jestem im coś winna. A jak ktoś się z tego nasmiewa, to mówię: „Przecież ja to robię dla siebie. Z egoizmu. Spróbujcie, jakie to miłe uczucie, gdy komuś się uda pomóc”. Choć często po nagraniach nie śpię, ryczę, ale tak naprawdę te rozmowy dają mi ogromną siłę.

– Płacze Pani z bezsilności?

Powiem tak: na szczęście, umiem płakać. Inaczej bym zwariowała. Mama mówiła, że jako dziecko świetnie chodziłam po drzewach, umiałam się bić i plułam na odległość lepiej od chłopaków. Ale czasem siadałam na środku pokoju i płakałam. Trwało to jakąś chwilę, po czym wstawałam, mówiłam: „już” i nie płakałam pół roku. Obserwuję teraz moich podopiecznych nie-

pełnosprawnych intelektualnie. Wielu z nich się do mnie przytuliło i nagle zaczyna płakać. Wiem, że muszą sobie popłakać, nawet bez powodu. Ważne, żeby płakać przy kimś, a ja się do tego nadaję. Halinka, dorosła kobieta, często mnie chwyciła w pasie i płakała. Brzuch miałam aż mokry od jej łez. A potem się uspokajała i już było dobrze. Jak się umie płakać, jest łżej. Człowiek się rozluźnia, nabiera nowego oddechu.

– Czego nauczyli Panią ludzie niepełnosprawni intelektualnie?

To jest dla mnie wciąż nieopiętą, ale nauczyli mnie prawdziwej radości, pozwolili dostrzec głęboki sens i najważniejsze wartości życia. Przeczytałam kiedyś wypowiedź pewnego neurologa, że największą nagrodą za wszystkie jego trudy życia jest kontakt z osobami niepełnosprawnymi in-

tektualnie. Teraz to rozumiem. Moi podopieczni mają na stałe uszkodzone mózgi, nie umieją kombinować, manipulować, świat rozumieją sercem. Po prostu czują, co jest człowiekowi najbardziej potrzebne. My często o tym zapominamy, zabijamy uczucia i pragnienia, bo mózg mówi nam: tego ci nie wypada, to ci się nie opłaca. A dla nich najważniejsze jest, by obok był ktoś, by trzymał za rękę, by się do kogoś przytulić. I nagle zdają sobie sprawę, że dla mnie też jest to najważniejsze.

– To musi być Pani ciężko, jak naraż wszyscy się przytulią?

Bywa ciężko, ale już się nauczyli, że się Ani za mocno nie ściska, bo potem ma siniaki. Przebywam całe życie w świecie wysokiej sztuki, uczę studentów w szkole aktorskiej, znam wybitne gwiazdy, filozofów i poetów, a jadę do

nich po coś najważniejszego, żeby nie zapomnieć, że jestem zwykłym człowiekiem. To są piękni ludzie. Szczerzy, czysti jak łąka, takie brylanty, których często nie zauważamy i wdeptujemy w ziemię. Pomyślałam, że jeśli oni będą szczęśliwi, to nasz świat też stanie się lepszy. Moja Fundacja „Mimo Wszystko” wybudowała dla nich piękne warsztaty terapeutyczne – „Dolinę Słońca” w Radwanowicach pod Krakowem. Tam odnajdują sens życia, czują się potrzebni, malują, haftują, rzeźbią, grają przedstawienia. I są uśmiechnięci. Przynajmniej to się udało dla nich zrobić, z pomocą księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, prezesa Fundacji im. Brata Alberta. W wielu kwestiach się różnimy, ale w robocie na rzecz niepełnosprawnych intelektualnie idziemy łąb w łąb. Dostałam od niego kawałek pola za złotówkę, gdzie pięć lat temu rosła tylko trawa, wybudowałam tam ośrodek i połowę dałam mu za złotówkę. W tej działalności poznaje się fantastycznych ludzi. Nie wiedziałabym, jak się do tego zabrać, gdyby nie moi mistrzowie, tacy jak Ewa Błaszczyk, Janeczka Ochojska czy Jurek Owskiak. My się wspieramy i to jest super.

– **Liczyła Pani kiedyś, ilu ludziom pomogła?**

Może 20 tysiącom? Nie wiem. Kiedy nie miałam fundacji, to – tak jak wszyscy – pomagałam głupio. Gdy pewnej pani wysłałam 100 złotych na lekarstwa, następnym razem kazała sobie kupić futro. W fundacji, zanim komuś pomożemy, robimy wywiady środowiskowe, sprawdzamy, gdzie mieszka, z czego żyje. Niestety, niektórzy myślą, że mam magiczną różdżkę i jak nią machnę, od razu spadnie manna z nieba. A tak nie jest.

– **Empatii można się nauczyć czy jest dana nam już w chwili narodzin?**

Na to pytanie nie ma odpowiedzi, bo każdy z nas jest inną planetą. Na pewno dzieciństwo i dom rodzinny kształtują naszą osobowość i wpływają na całe dalsze życie. Miałam fantastyczny dom, choć się nie przelewało. Tato był zażartym antykomunistą. Rodzice uczyli nas pracowitości i wiary w to, że można odmieniać rzeczywistość, robiąc samemu różne

rzeczy. Na przykład zabawki sama sobie robiłam z braćmi. Mama nauczyła mnie gotować, jak miałam 11 lat.

– **Słyszałam, że robi Pani najlepsze w świecie pierogi ruskie!**

Też. I żurek, i różne pyszności. Zawsze w sobotę jeździliśmy z rodzicami gdzieś nad rzekę. Spaliliśmy pod namiotami i łowiliśmy ryby. Takie pstrągi na ognisku... niebo w gębie! Kocham przyrodę, znam drzewa, zioła, grzyby, kwiaty od zawsze. Nauczyłam się w dzieciństwie zachwycać tym, co

jest obok, wschodem słońca, wiatrem, deszczem. Odnajduję w tym siłę i spokój. Na szczęście nikt tego dziecka we mnie nie zabił. A jeszcze pod skrzydłami Wiesia Dymnego, niezwykłego artysty, mogłam swoją wrażliwość rozwijać.

– **Miała Pani dobrych nauczycieli.**

Rzeczywiście, dostałam się pod skrzydła wybitnych ludzi, którzy ze mną pracowali przez 40 lat w Starym Teatrze. A jacy reżyserzy się nade mną męczyli, jak mnie urabiali! Jakich genialnych aktorów poznałam: Jurka Trele,

którego kocham jak brata, Jurka Bińczyckiego, Ankę Polony...

– **Tak często grała Pani z Bińczykim, że odbierano Was jako parę!**

Tak. Docierały do mnie plotki, że mam nowego kochanka. Czasem ludzie byli całkiem zdezorientowani. Raz usłyszałam na ulicy rozmowę dwóch pań: „Zobacz, to ta kochanka Bińczyckiego!”. A druga oburzona: „Jaka kochanka, przecież to jest jego żona”. Jeszcze jedna się wtrąciła: „Co panie mówią, to jego córka”. Bo grałam i jego żonę, i córkę, i kochankę. ▽




REKLAMA



MASZ TO W NATURZE

Nowość

Podwójne wsparcie organizmu Podwójna porcja zdrowia*

-  **2** funkcje korzystnie wpływające na zdrowie i dobre samopoczucie w każdym syropie.
-  **4** wyjątkowo smaczne kompozycje owoców i naturalnych składników aktywnych znanych ze swych dobroczynnych właściwości.
-  jakość i skuteczność gwarantuje **Herbapol** - marka, która od 65 lat czerpie to co najlepsze z natury, dostępna również na rynku aptecznym.



PROMOCJA
**10%
GRATIS!**

*Składniki funkcjonalne syropów Herbapol wspomagają naturalną odporność organizmu (owoc bzu czarnego, owoc dzikiej róży), przyczyniają się do łagodzenia uczucia napięcia i niepokoju (liść melisy, owoc głogu) i zmniejszenia uczucia zmęczenia i znużenia (magnez) oraz wspomagają sprawność umysłową (cytryniec).

„Kilka razy traciłam wszystko. Gdy spaliło mi się mieszkanie, musiałam je odbudować, a na strychu, który miałam z Dymnym, mieszka teraz mój syn. Całe życie marzyłam o ogrodzie i wreszcie go mam. Widać z niego Kraków, Wawel, Wisłę...”

Jak przyszedłam na próbę „Wesela” do teatru, powiedziałam o tym Biniowi. A on: „Ania, nic się nie bój, pożyjesz trochę, to usłyszysz, że jesteś moją matką”.

– Stoi Pani w rozroku, bo jest i aktorką, i wolontariuszką, i matką przyciągającą cudze dzieci!

Jaki rozrok? To jest harmonia, proszę pani! Tu wszystko się harmonijnie przenika i dopełnia. Nie mam czasu stać w rozroku, muszę iść do przodu. Dzisiaj do nocy mam jeszcze zajęcia ze studentami, a o ósmej rano muszę być w fundacji. Wszystko zaplanowane na styk. Nie ma czasu na chaos, nerwy, rozkraczanie. Żeby się udało, trzeba mieć w sobie radość i spokój. Czasem słyszę: „Musisz z czegoś zrezygnować”. Ale jak ma się 62 lata, tak jak ja, to czas inaczej płynąć. Teraz już nie ma „później”. Czasem mówię: „Nie dam rady, Panie Boże, taka jestem zmęczona”. Po czym wchodzę do teatru i czuję, jakbym weszła do orzeźwiającej wody. Po prostu odpoczywam. A jak w teatrze padam ze zmęczenia, jadę do fundacji i zapominam o tym zmęczeniu. Zapyta pani, jakie mam hobby. No właśnie takie, że co tydzień idę do Salonu Poezji. Z jednej strony to obowiązek, a z drugiej cudowne chwile, podczas których słucham najpiękniejszej poezji świata w wykonaniu najlepszych aktorów. Otworzyłam już 39 Salonów Poezji w Polsce i poza jej granicami. A w kolejce czeka Wilno, Detroit, Monachium, Łańcut...

– Pani mąż, Krzysztof Orzechowski, dyrektor Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, nie jest zazdrosny o tę rozbuchaną działalność?

Ma być zazdrosny? Przecież wie, jaki mam zawód, a poza tym jego też ciągle nie ma w domu. Nie ma źle. Robię nalewki, gotuję, robię przetwory i prowadzę dom. Czasem jest nam trudno, jak dziś, kiedy z panią siedzę, podczas gdy on jest w domu po operacji. A mężczyzna po operacji wymaga czułości i opieki. Ale zrobiłam mu rosół i golonki indyjskie w żurawinie, więc nie ma na co narzekać.

– Mówi się, że do trzech razy sztuka, a to chyba Pani trzeci mąż?

O tym nie muszę mówić. Ludzie i tak wiedzą to lepiej ode mnie. Gdyby było to możliwe, byłabym przy jednym mężczyźnie. Ale to się nie zawsze udaje.

– Zbudowała już Pani dom marzeń, bo często zmieniała adresy?

Nie tak często. Prawdą jest, że kilka razy traciłam wszystko. Gdy spaliło mi się mieszkanie, musiałam je odbudować. A na strychu, który miałam z Dymnym, mieszka teraz mój syn. Całe życie marzyłam o ogródku i wreszcie go mam. Posadziłam tu setki roślinek, drzewek. Tu jest skała, więc często musiałam godzinami kilofem robić dziury w ziemi. Dużo mojego potu wsiąkło w ten ogródek. Ale im większy wysiłek w coś się włoży, tym większa potem radość. Ten ogród jest jak całe moje życie. Znam dobrze swoje rośliny. Wiem, co lubią, której nawet trzeba dać, a którą okopać. To też moi przyjaciele. Z ogrodu roztacza się cudowny widok na Kraków i Wawel, Wisłę, na wprost mam Kopiec Kościuszki. Pod siatkę podchodzą dziki, sarenki, lisy. Jest tu ślicznie.

– Ale niechętnie wpuszcza Pani tam dziennikarzy?

W ogóle ich nie wpuszczam. Dom to mój azyl. Może malutki i niepozorny, ale mój kochany. Z każdego pokoiku jest wyjście do ogrodu. Mamy tu salon z kominkiem, pokój do pracy, kuchnię otwartą z dużym dębowym stołem, na którym jest zawsze bałagan, bo tu się najlepiej pracuje i klei aniołki i baranki. Tu zawsze z mężem jem śniadanie... z kotem. Czarny Haszysz siedzi obok mnie na ławie, trzyma łapki na stole na specjalnej deseczce, mruży i czeka na jakiś smakowity kęs.

– Bardzo przeżyła Pani fakt, że syn wyprowadził się z domu? To się nazywa syndromem pustego gniazda.

Gdy Michał był mały, umawialiśmy się, że nigdy nie będzie pieprzonym maminsynkiem i gdy będzie pełnoletni, dostanie się na studia, ma „spadać” z domu. Mówiłam mu o tym w żartach, a tu

pewnego dnia z tajemniczą, tak zwaną niewyraźną miną, z walizką w rękę oznajmił, że właśnie przyszedł „ten dzień”. Pomogłam mu się spakować, byłam dzielna, nie płakałam. Zawiozłam go do mojego dawnego mieszkania na strychu, które na niego czekało... Dziś mam w Michale fantastycznego przyjaciela.

– A Michał nie mówi, że fundacja ukradła mu matkę?

Ja nikomu nie daję się kraść i znam hierarchię ważności i wartości w swoim życiu. Bez słów wiemy, czym dla siebie jesteśmy. Nie pouczam go, nie prawię kazań. Kocham go i staram się być dla niego takim wzorem, jakim dla mnie była moja mama. To dobrze owocuje. Michał jest pasjonatem, tak jak ja. Jego pasją jest muzyka – gra, komponuje i „pożera” książki, tak samo jak ja, kiedy byłam młoda.

– Jakiego marzenia?

Żeby mieć dużo wnuków (śmiech). Żeby moi bliscy byli zdrowi i szczęśliwi, by fundacja dobrze działała... A ja? Chciałabym mieć więcej czasu i prywatne ciepłe jezioro albo morze i ...codziennie bym sobie pływała wieczorem po spektaklu. W wodzie jestem lekka jak piórko i mój kręgosłup to lubi.

– Gdyby można było cofnąć czas, poszłaby Pani tą samą drogą?

Nie wiem. Droga, którą idę, jest fascynująca. Jest prosta i konsekwentna, nigdy niczego nie żałowałam. Jestem szczęśliwa w Krakowie. Tu mam swoje miejsce na ziemi, mój teatr, ogród i moją kanapę podrapaną przez koty.

– Nie boi się Pani starości?

A widzi pani jakiś strach w moich oczach? Przecież już mam swoje lata i dla wielu już dawno jestem stara! (śmiech). Zawsze się cieszyłam z tego, co mam. Wolę zmieniać to, co mi się nie podoba, a jest ode mnie zależne. Kiedy źle, uśmiecham się. W szpitalu, gdzie trafiłam po ciężkim wypadku, usłyszałam: „Pani jest jakaś nienormalna. Była pani prawie umierająca, a tak uśmiechnięta jak promień słońca”. Im bardziej

boli, tym bardziej jestem radosna. Odziedziczyłam to po mojej mamie. O starości mogłabym okropnie rzeczy powiedzieć, ale jest sprawiedliwa dla wszystkich. Zabiera nam wzrok, słuch, sprawność fizyczną i przyjaciół. Czasem ze zgrozą myślę: Boże, odszedł kolejny świadek mojej młodości.

– Długo zamierza Pani tak pędzić?

Ile mi Pan Bóg pozwoli i jeden dzień dłużej. Na wszelki wypadek nie pytam go o to. Pędzić na pewno będę w taki sposób, jakby każdy dzień miał być ostatnim, żeby nie zmarnotrawić ani minuty. A co później, nie wiem.

– Nie robi sobie Pani wyrzutów, że była piękna i utalentowana, a przez rozliczne pasje rozmieniła na drobne swój talent?

Czy pani myśli, że praca w fundacji i program „Spotkajmy się” coś mi zabrały? Gram więcej niż kiedykolwiek, w pięciu przedstawieniach teatralnych. Nie pokazuję się w filmach, bo szkoda mi czasu na role, które mi proponują, a wielu już nie zagram, bo jestem za „dojrzała”. A wie pani, ile się nagrałam w życiu? Niektóre role do dziś procentują. Jak idę po wsparcie dla podopiecznych, słyszę: „Tak panią kochałem, jak grała pani w »Znachorze«, że teraz też pani pomożę”. Marysia Wilczurówna mi pomaga, tak samo Ania Pawlaczka, Basia Radziwiłłówna i Marianna z „Siedliska”.

– Ludzie mają problem, bo trudno Panią zaszukadłować. Jak by się Pani określiła jednym słowem?

Kobieta Dymna (śmiech). Nie wiem, co za problem. Taka zwyczajna wersja dymna człowieka jestem.

Rozmawiała ELŻBIETA PAWELEK

Zdjęcia ROBERT WOLAŃSKI

Stylizacja JOLA CZAJA

Asystent stylisty MAREK PRZESMYCKI

Makijaż, fryzury ANETA KOSTRZEWA/

I LIKE PHOTO

Postprodukcja PLUPART.PL

Produkcja sesji PIOTR WOJTASIK

Za gościnę redakcja serdecznie dziękuje

hotelowi Chopin w Krakowie,

ul. Przy Rondzie 2,

www.vi-hotels.com/pl/chopin-cracow

Chopin
HOTEL ★★★ CRACOW

MANAGED BY

RUBINSTEIN
RESIDENCE